Nr. 39. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austrjackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 23 Września 1871.

Redakcja przy ulicy Fryderykowskiéj Nr. 27.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

OD REDAKCJI.

Z dniem dzisiejszym otwieramy przedpłatę na **Dzieło zbiorowe** na pamiątkę stuletniéj rocznicy pierwszego rozbioru Polski.

W skład książki téj wejdą artykuły najznakomitszych autorów, z wszelkich gałęzi piśmiennictwa naszego jako dowód niespożytéj żywotności polskiego narodu, który pomimo stu lat niewoli tak na polu literatury jak sztuki podąża za ogólnym postępem.

Cena dzieła zbiorowego wynosi 4 tal., dla prenumeratorów Tygodnika tylko dwa talary. Po wydrukowaniu zaś znacznie ona podwyższoną będzie.

Dla zobopólnéj kontroli nazwiska przedpłacicieli tak w Dzienniku Poznańskim, jak w Tygodniku Wielkopolskim i na czele samegoż dzieła umieszczane będą.

Od ilości prenumeratorów zależeć będzie ozdobność wydania téj prawdziwéj dla każdéj polskiéj rodziny pamiątki.

Przedpłatę przyjmuje redakcja Tygodnika Wielkopolskiego aż do dnia 1go stycznia 1872 roku.

* * *

Szanownym Czytelnikom pisma naszego przypominamy, że nadchodzi czas składania abonamentu, przyczém prosimy o zachowanie kwitów prenumeracyjnych.

Edmund Callier.

LIST

Doktora *Henryka Levittoux* do Doktora *Karola Libelta*

w odpowiedzi na jego artykuł o „Drugiém wydaniu

FILOZOFJI NATURY

w języku polskim, Warszawa 1869", zamieszczony w numerach 17, 18, 19, 20, 21, 22, 23, 24, 25, 26, 27, 28 i 29

Tygodnika Wielkopolskiego.

(Ciąg dalszy.)

Co do teorji poczęcia istot organicznych zwierzęcych jak i roślinnych, rzeczywiście wziąłem, jak to sam mówię, fakta naukowe od Costa i od innych embrjologów i fizjologów; tylko, że nie objaśniam ich, jak to Pan utrzymujesz, lecz daję nową teorję poczęcia zwierząt jak i roślin. Kiedy Pan znowu utrzymujesz, „że o zapłodnieniu roślin nie wspominam (str. 254, Nr. 21), czy też, że nic nie mówię; gdy tymczasem nie mogłem nic mówić o poczęciu roślin, skoro z umysłu porównywam ziarnko roślin do jajka zwierząt, skoro co powiedziałem w mojéj teorji o zapłodnieniu zwierząt, literalnie do roślin się stosuje z wyjątkiem chyba, że pojedyncze komórki napełnione płynem zapładniającym w nasieniu roślinném męzkiem, zastępują zoospermy nasienia zwierzęcego męzkiego. —

Utrzymujesz Pan daléj, że nie rozwiązałem „ogromnego znaczenia kwestji materji i siły, że kwestję stosunku Boga do natury zostawiłem w zawieszeniu (str. 214, Nr. 26), że doprowadziwszy kreację do Boga, nie daję pojęcia o Bogu", gdyż, objaśniasz Pan, „praca moja jest raczéj fizjologją niż filozofją" — „gdyż wychodzę z atomu i z siły." Pozwolę sobie w tém miejscu, co do pierwszego zarzutu: że nie rozwiązałem pytań: co jest materja, co jest siła? i że zostawiłem kwestję stosunku Boga do natury w zawieszeniu, zwrócić światłą Jego uwagę: że jeżeli atom jest najmniejszą, niepodzielną cząstką siły fizycznéj, czyli kosmicznéj, czyli materji, acz niesłychanie płynnéj i nieważkiéj, która w chwili przemiany w materję ważką, czyli będąc w ruchu oscyllacyjnym, niesłychanie przyspieszonym *stanowi cząstkę najmniejszą ognia; że mówię atom jest żywym w ogniu,* że może, jak powiedziałem, przybrać wszelkie formy życia tak organicznego jak nieorganicznem zwanego, że może w drodze ciągłych przeobrażeń jaśnieć intelligencją, że nadto zmienia się w materję ważką, dotykalną, na co się Pan zgadza samém uznaniem mojéj syntezy całéj kreacji od sił prostych do władz intelligencji, do atomu, do człowieka, do słońca słońc, a w któréj sprowadzam całe stworzenie tak co do sił jak i co do materji do siły elementarnéj, do atomu a ostatecznie do Ducha twórczego wszechrzeczy, do Boga — jeżeli więc rozwiązałem, zdaniem Pańskiém, kwestję przemiany siły w materję czyli atomu nieważkiego w ważki; jeżeli Pan przyznajesz, że materja jest pewnym stanem zmysłowym siły, że jest, że tak powiem konkrecją siły fizycznéj, któréj znowu siła *czysta*, czyli *spirytualna* jest esencją i duszą, jest mądrym motorem; jeżeli się Pan zgadzasz, że materja jest ciężka siłą w niéj wyrażoną, że przyciąga i odpycha, że spada na ziemię, czyli że przyciągana jest do środka grawitacji siłą, któréj jest wyrażeniem, metamorfozą, że wszystkie własności materji leżą w sile która jest jéj esencją; że materja wraca do siły drogą metamorfozy wstecznéj, a ta do Boga; jeżeli się Pan zgadzasz na to, że siła fizyczna może się przetworzyć w siłę życia i intelligencji i jaśnieć w duszy człowieka jako materja nieważka najwyższéj potęgi światłem Bożem, mądrością i miłością, że jako dusza, czyli myślący eter substancji szaréj mózgu, służy sile czystéj, spirytualnéj, nadzmysłowéj, że służy Duchowi twórczemu, Bogu, za łącznika z ciałem człowieka, z mózgiem...., nie możesz Pan bez zaprzeczenia logiki nie przyznać mi rozwiązania acz olbrzymich kwestji materji, siły i wytknięcia już pewnego stosunku Boga do natury, czyli najczystszéj siły spirytualnéj do materji. — Jeżeli teraz dodam do prawd tylko co przywiedzionych ważniejsze ustępy z rozdziału *Bóg i natura*, gdzie tłumaczę: „że Bóg, *nieskończoność*, jest *skończony, wyrażony* w naturze, która będąc *skończonością*, jest znowu w światach maluczkich, w atomach, jak i w ogromie stworzenia *nieskończonością;* że takim sposobem natura będąc *skończonością w nieskończoności* i *nieskończonością skończoną*, w procesie *mutacji materji* wraca w każdéj chwili jako *skończoność* do *nieskończoności*, do Boga: co nazwałem owém perpetuum mobile, w którém początek jest końcem, a koniec początkiem, — w którém przyczyna jest skutkiem, a skutek przyczyną — w którém widzimy wieczny powrót natury do Stwórcy i wieczne a ciągłe przetwarzanie się Stwórcy w stworzenie, czyli siły czystéj, twórczéj w materję; — czy słowa te nie tłumaczą stosunku Boga do natury i nieskończoności do skończoności? Pytam się czy ustępy z rozdziału „Bóg i natura", gdzie wyraźnie mówię: że jak materja jest pewnym stanem siły w Bogu swe źródło mającéj, tak cała natura jest znowu pewnym stanem dotykalnym Boga, jest przeobrażeniem się Boga z woli Jego w sposób, że cały Bóg, że cała mądrość jest tak dobrze w najmniejszéj odrobinie stworzenia jak w całym ogromie kreacji, że natura jest mądrością w miłości poczętą i wyrażoną, że Bóg i natura, co do istoty, jest jedno i toż samo, że cała różnica leży w tém, że naturę, któréj twórcą, duszą i istotą jest Bóg, widzimy i dotykamy, domyślając się z mądrości przeświecającéj przez różne ścianki jéj pryzmy jestestwa Boga, kiedy Boga pojmujemy o ile Go w sobie mamy, lub znamy, o ile Go w cudownych mądrością i miłością dziełach natury domyślić się umiemy... Pytam mówię czy podobne zdania jakkolwiek rażące ludzi rutyny, przyzwyczajonych gardzić materją, a zbytnie unosić się nad stroną duchową świata dla tego, że ani jednéj oni nie znają i niegodni są zrozumieć, czy podobne idee, o których wszakże zbyt zaszczytnie się Pan dla mnie wyrażasz, nie dają znowu w pewnych granicach pojęcia o Duchu twórczym wszechrzeczy, o Bogu i nie rozwiązują ostatecznie kwestji stosunku Boga do natury?

Co do dalszego zarzutu Pańskiego, „że nie daję pojęcia o samym Bogu" jakkolwiek sam tytuł książki mojéj upoważnił mnie, jako niepiszącego teologji, tyle tylko mówić o Bogu, ile Go w mądrości praw rządzących naturą dostrzegę, nie mogłem nic mówić o Bogu i nie dać o Nim pojęcia, skoro nazywam Go najwyższą, czystą, twórczą mądrością i miłością; skoro mówię, że natura jest przeobrażeniem się Boga, jest stanem Boga dotykalnym, jest ciałem Bożém dla zmysłów naszych; skoro sam Pan piszesz na str. 314 No. 26. „Piękne i wzniosłe daje nam Autor orzeczenie o Bogu. Jak n. p. natura jest pryzmą, przez którą się Mądrość odwieczna w nieskończoności swoich przymiotów zawsze cała uwydatnia. — Każdy przymiot Boga jest całym Bogiem, Bóg jest wszędzie i wszystkiém rządzi; wszystko jest Bogiem, jako z Boga i przez Boga poczęte." — „Bóg

jest nieograniczony w materji skończonéj; jest bez początku w materji poczętéj; niepodzielny w materyi podzielnéj; jest wolą rozumną i kochającą w materji zimnéj i milczącéj.“ — Będąc wszędzie i na każdém miéjscu, nie ma początku, nie ma przestrzeni, ani czasu.“ — „Bóg jest jeden; bez początku i bez końca, jest wiecznością.“ — „Nie ma nędznych i szlachetnych stworzeń, wszystkie są w Bogu równe.“ — „Nie odmawiajmy duszy istotom od nas niższym; nie odmawiajmy mądrości i miłości proszkowi; ma on ją wewnętrznościach swoich, w swoich światach, w atomach.“ — „Proch się nie czuje, lecz Bóg się w nim kocha i rozumie“ (str. 228—329).

(Dokończenie nastąpi.)

HISTORJA SIWEGO WŁOSA.

Powieść

Władysława Łozińskiego.

(Dalszy ciąg.)

Miał się czego radować Sauger; wszakże miał w kieszeni hasło do katastrofy, bombę która pęknąć mogła w łonie znakomitéj rodziny, miał tajemnicę złowrogą i ciężarną w burzę... Nabył za tanie pieniądze honor, kupił sobie duszę, położył areszt na spokój serca, wziął w lichwie sen nocny swéj ofiary...

Może Sauger wyobrażał już sobie w myśli, jak kiedyś spotka na spacerze świetną karetę Rokickich, któréj towarzyszyć będzie dorodny i elegancki Oktaw na dumnym koniu, i jak on, żyd wzgardzony, lichwiarz nikczemny, przedmiot wstrętu i obrzydzenia, spojrzeć będzie mógł na to pyszne towarzystwo wzrokiem, który piekielnym połyskiem swym szeptać będzie:

— Oto dostojne i wysokie grono, a ja, nikczemny Sauger, mam w kieszeni klucz do jego spokoju a może i szczęścia! Jak oni dumnie jadą, a ja żyd podły wlokąc się nędznie, obryzgany błotem przez konie i koła karosy, mam w kieszeni tajemnicę ich nieszczęścia... Z jaką pogardą spozierają na mnie, jak zuchwale woźnica biczem ku mnie się zmierza, a ja mam przecież w kieszeni honor tego ładnego panicza, i łzy i śmiertelną trwogę téj prześlicznéj pani, i spokój i cześć siwych włosów tego pysznego, dostojnego magnata! Tylko prędzéj, tylko prędzéj, pędźcie dumnie i pysznie; cwałuj naprzód szalenie, panie hrabio Jarski; ja jestem za tobą ciągle, ja cię dopędzę piechotą, jak klątwa losu, jak przeznaczenie!...

V.

Kapitan Zyberg.

Kilka miesięcy minęło od wyjazdu Rokickich na wieś. Zbrojna, dokąd jenerał zaraz po owéj scenie balowéj wyjechał z swoją żoną, była miejscem prześlicznie położoném. Wieś ta stanowiła niejako stolicę ogromnego klucza, który Rokicki posiadał. W samym środku wsi znajdował się starożytny pałac, w stylu zamkowym zbudowany, który jenerał starannie i z prawdziwém zamiłowaniem utrzymywał. Do pałacu tego wiodła przez całą długość wsi przepyszna aleja lip starych, których cieniste konary tworzyły żywe, zielone sklepienie nad drogą.

Miało się już ku zachodowi słońca, gdy aleją tą lipową jechał konno jakiś mężczyzna w mocno podeszłym już wieku. Mimo to trzymał się dzielnie na koniu a w całéj postaci jego znać było jeszcze siłę i krzepkość. Starzec ten był niskiego wzrostu i bardzo szczupły, ale niemniéj przeto pełen męzkiéj, marsowéj jakiéjś powagi. Twarz jego jakkolwiek chuda, uderzała mile zdrowym rumieńcem, który wraz z ciemną, opaloną cerą dodawał jéj wyrazu nadzwyczajnéj czerstwości, oko głęboko osadzone, blado-niebieskie, spoglądało żywo i przenikliwie z pod białych brwi, które się dwoma szorstkiemi strzępami jeżyły, wąs siwy i z fantazją podkręcony dodawał wyrazowi całéj fizjognomji coś rycerskiego i sędziwego zarazem. Na krótko ostrzyżonéj głowie siedziała zgrabnie i z pewną junacką fantazją magierka, a krótka kurtka szaraczkowa, takiegoż koloru szarawary i sztylpy, stanowiły skromny ubiór jeźdzca.

I po stroju i po figurze poznać było dawnego żołnierza. Dość było popatrzyć na pewność i swobodę, z jaką staruszek trzymał się na siodle, na wprawę, z jaką kierował dziarskiego i widocznie nieujeżdżonego jeszcze konia, aby się domyśleć, że jeśli nie całe swe życie, to przynajmniéj całą jego połowę spędził na siodle i w strzemionach.

Był to kapitan Zyberg, znany w całéj okolicy weteran. Był on przyjacielem, pełnomocnikiem, rządcą, zgoła ręką prawą hr. Rokickiego, który go jak brata kochał, jak ojca poważał. Zyberg pochodził z znakomitéj rodziny polskiéj, ród jego wywodził się z Inflant i był jednym z najzacniejszych w Polsce. Po bogatych swych antenatach nie odziedziczył jednak Zyberg nic prócz imienia, z którego był dumnym aż do słabości.

Zyberg posiadał był kiedyś mały mająteczek, ale ten rozpadł się wśród zamieszek krajowych, a po kilkudziesięcioletniéj służbie wojskowéj w kraju i za granicą weteran nasz znalazł się tylko w posiadaniu szlif kapitańskich i krzyża legji honorowéj. W obozie i za granicą zaprzyjaźnił się był Zyberg z hr. Rokickim, z którym przez długie lata dzielił wszystkie przygody losu. Między oboma towarzyszami broni panował stosunek najgłębszéj przyjaźni — a przyjaźń ta zatwierdzoną była krwią, którą Zyberg przelał za Rokickiego ratując go wśród jednéj z potyczek od nieochybnéj śmierci.

Znalazłszy się na obcéj ziemi Rokicki i Zyberg bywali nieraz w bardzo przykrém położeniu. Jenerał, jakkolwiek bardzo bogaty z domu, przez dłuższy czas nieotrzymywał zasiłków, a wtedy Zyberg dzielił się z nim kęsem chleba w dosłowném znaczeniu tego wyrazu. Rokicki znalazł także nieraz sposobność odwzajemnienia się swemu towarzyszowi, a tym sposobem ugruntowała się między oboma przyjaźń pełna rzadkiéj serdeczności.

Gdy jenerał powrócił do kraju i stale się w nim osiedlił, nie zapomniał o Zybergu. Powierzył mu zarząd jednego z najobszerniejszych swych kluczów, a zamiast wynagrodzenia oddał mu w bezpłatne i swobodne używanie wioskę małą, ale piękną i intratną. Rokicki nieraz nalegał na kapitana, aby wioskę tę przyjął od niego w darze — ale Zyberg stale się temu opierał. Nie chciał jéj nawet używać daremnie, lecz uważał ją tylko za wynagrodzenie swoich trudów około majątku hrabiego, które istotnie były niepospolite. Zyberg lubił życie czynne i ruchliwe, znał się doskonale na gospodarstwie, a był nadto pełen energji i służbistéj punktualności.

W Drużkowie, bo tak się nazywała wioska ustąpiona Zybergowi przez Rokickiego, osadził kapitan swego

siostrzeńca z żoną i rodziną, a sam cały się oddał pracy około zarządu dóbr hrabiego. Cały dzień uwijał się po folwarkach na koniu, kontrolował wszystko z niesłychaną bystrością, w żołnierskim rygorze trzymał ekonomów i rządców, tak, że w całéj administracji panował wzorowy prawdziwie porządek.

Zyberg jechał lipową aleją zwolna i zdawał się dumać nad czemś, gdy nagle coś zajęło mocno jego uwagę. Kapitan, jakby tknięty jaką niespodzianką, wspiął się w strzemionach, wychylił się nieco naprzód ponad szyję konia i spojrzał bystro przed siebie. Na twarzy jego zarysował się wyraz jakiegoś niemiłego zdziwienia. Mruknął coś niezrozumiale pod swoim siwym, marsowym wąsem i niecierpliwie ruszył się na siodle.

Naprzeciw Zyberga, trzymając się ścieżki bocznéj, szła figura jakaś zwolna i ostrożnie, z spuszczoną głową i krokiem jakby się skradającym. Był to mężczyzna już podeszły, w którym po stroju, po fizjognomji a przedewszystkiém po ruchach i zdradzieckiém, niepewném spojrzeniu, każdy z naszych czytelników poznałby natychmiast — Saugera.

Był to istotnie znajomy nam już lichwiarz. Ubrany był nieco staranniéj niż zwykle, miał bowiem na sobie ciemny długi surdut a na rękach brudne, grube rękawiczki. Gdy zobaczył zdaleka kapitana, zatrzymał się i zdawało się chwilę, że chce się ukryć za jedną z lip alei. Jakby jednak już przeczuł, że Zyberg go dojrzał, zmienił plan i usuwając się ile możności na bok z drogi, utkwił oczy w ziemię i przyspieszył kroku. Gdy Zyberg zrównał się już z Saugerem, zatrzymał konia i ostro spojrzał na żyda. Sauger rzucił nań z ukosa krótkie, przelotne spojrzenie, a potém bardziéj jeszcze pochylił głowę i spieszniejszym jeszcze szedł krokiem.

Kapitan chwilkę stał na miejscu nie spuszczając Saugera z oka; zwrócił nawet do połowy konia, i patrzył jakiś czas za odchodzącym. Następnie, jakby pod wpływem chwilowego gniewu czy indygnacji, dał koniowi ostrogi i ruszył krótkim galopem w przeciwną stronę, wiodącą do pałacu Rokickiego. Znalazłszy się na dziedzińcu, stanął przed wchodem a ujrzawszy tam kilku lokajów, bawiących się pokryjomu grą karcianą, kiwnął ręką, przywołując ich do siebie.

Lokaje przestraszeni rzucili kartę, a po pośpiechu, z jakim stawili się przed kapitanem, poznać było, że bali go się jak ognia. Zyberg zwrócił się do jednego z nich, który stał na samym przodzie i zapytał:

— Pan hrabia wrócił?

— Nie jeszcze, proszę pana kapitana.

— Pani hrabina u siebie?

— U siebie, panie kapitanie.

— Kto tu był przed chwilą?

— Żyd jakiś, podobno ze Lwowa.

— Czego chciał?

— Chciał koniecznie widzieć się z jaśnie panią.

— Widział się?

— Nie. Nie puściliśmy go, a gdy bardzo nalegał i prosił, poszedłem się zapytać, ale jaśnie pani nie kazała go puszczać. Powiedziałem mu, że jeśli ma jaki interes, niechaj idzie do pana marszałka lub do pana sekretarza. On na to odpowiedział, że musi się koniecznie widzieć z samą panią hrabiną i dał mi list do niéj.

— Gdzie ten list? — zawołał z pospiechem kapitan — czy oddałeś go?

— Nie jeszcze, proszę pana kapitana.

— Daj go tu! — zawołał Zyberg i biorąc list od lokaja, schował go szybko do kieszeni. — Czy kazał ci więcéj co powiedzieć pani hrabinie?

— Prosił zaraz o odpis i mówił, że czekać będzie na odpowiedź dwie godziny w karczmie na końcu wsi.

— Słuchaj! — zawołał Zyberg — gdyby się tu jeszcze raz pojawił, nie puszczać go, nawet na podwórze go niepuścić! Rozumiesz!

Wydawszy ten rozkaz stanowczym głosem Zyberg wyjechał z podwórza. Gdy się znajdował już znowu w lipowéj alei, wydobył list, rozpieczętował i odczytał...

Skończywszy czytać kapitan z najwyższym gniewem ścisnął papier w dłoni, a twarz jego okryła się prawie pąsem. Jechał zwolna daléj, mocno zajęty myślami. Nagle, jakby mu dobra myśl jaka przyszła do głowy, skręcił konia w boczną drożynę i pełnym pędem poleciał po pod chaty wiejskie. W jednéj prawie chwili znalazł się przed kościołem, który wcale nie wyglądał na kościołek wiejski, była to bowiem świątynia okazała, zbudowana w najlepszym smaku, poważna cechą starożytności.

O kilkadziesiąt kroków obok kościoła znajdowało się pomieszkanie plebana. Był to mały, schludny domeczek murowany, na pół ukryty w cieniu rozłożystych drzew, które go dokoła otaczały, opatrzony w ów tradycyjny ganek, bez którego nie obejdzie się żaden skromny dworek wiejski. Na ganeczku tym siedział pleban Zbrojnéj, ksiądz Plisza, kapłan około sześćdziesięcioletni, z dziwnie pogodną i ujmującą twarzą, z serdecznym wyrazem około ust, i z oczyma jasnemi, pełnemi powagi i słodyczy zarazem.

Ledwie dały się słyszeć kopyta konia na dziedzińcu maleńkim plebanji, gdy wybiegł mały chłopak wiejski, aby wziąć cugle od kapitana. Zyberg zeskoczył szybko z konia i podał w milczeniu rękę księdzu Pliszy, który z ganku wyszedł na jego powitanie. X. Plisza uważnie spojrzał na kapitana, z którym oddawna w najczulszéj żył przyjaźni, a spostrzegłszy jego rozdrażnienie, zapytał z niepokojem:

— Kapitanie! kapitanie! a tam się co stało? Widzę ci z twarzy, żeś czegoś albo rozgniewany, albo niespokojny. Nawet Pana Boga nie pochwaliłeś, witasz się milczkiem i ponuro jak farmazon.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł Zyberg — przepraszam jegomości, ale tak jestem zirytowany, że o wszystkiém zapomniałem. Xięże Andrzeju mam do was bardzo ważny i bardzo pilny interes!

Rzekłszy to kapitan porwał księdza Pliszę szybko za rękę i ciągnął prawie przemocą do pokojów. Xiądz Andrzej z coraz większém zdziwieniem a nawet trwogą spozierał na swego przyjaciela. Gdy znaleźli się w sieniach kapitan zaryglował drzwi i pociągnął księdza daléj za sobą. Ciągnął go przez wszystkie pokoiki i zatrzymał się aż w ostatniéj maleńkiéj izdebce, która była sypialnią księdza Pliszy.

Dotąd ksiądz Plisza dał się wlec przez kapitana, tu jednak już wyrwał się z jego silnéj dłoni i kładąc mu rękę na ramieniu, spojrzał mu w oczy swym pogodnym, choć nieco zaniepokojonym wzrokiem.

— Zyberg, co się stało! Na Boga, co ci jest, mówże! — zawołał patrząc ciągle na schmurzoną i niespokojną twarz kapitana.

— Xięże Andrzeju! — zawołał szybko i z stanowczym, prawie uroczystym naciskiem Zyberg — oddaj mi twoje pieniądze, daj mi dużo pieniędzy, daj mi wszystkie pieniądze, jakie tylko masz u siebie!

Xiądz Andrzej prawie z przerażeniem spojrzał na Zyberga. Kapitan był zmieniony i drżał cały od rozdraźnienia.

— Bóg z nami! — zawołał ksiądz Plisza, sadząc przemocą Zyberga na krzesło i przysiadując się do niego — co się stało, co się stało, kapitanie? Chcesz pieniędzy, dobrze, dam ci je natychmiast, dam ci te, o których wiesz, że...

— O których wiem, że przeznaczyłeś je na cel, o którym całe życie marzyłeś, dla którego całe życie żyjesz w ubóstwie dobrowolném, serdeczny mój, dobry, święty proboszczu! Daj mi te pieniądze, któremi chciałeś rozpocząć budowę szpitalu. Rozpoczniesz ją, księże Andrzeju, bo ci je oddam za kilka miesięcy, za kilka

tygodni, ale pożycz mi je, daj mi je natychmiast, wszakże masz je w gotówce...

— Kapitanie mój drogi, czegożbym nie zrobił dla ciebie! — rzekł drżącym od niepokoju i rozczulenia głosem ksiądz Andrzej, który w téj chwili już stał przy starym dębowym kantorku i otwierał z gorączkowym pośpiechem zamek — ale powiedz biedny, co jest, co zaszło! Wszakże mnie kochasz i ufasz mi, kapitanie!

— O ojcze kochany! — zawołał Zyberg, całując mimo oporu rękę zacnego kapłana — opowiem ci wszystko i zaraz, bo pomódz mi musisz!

— Bóg z nami! braciszku! Bóg z nami! tylko uspokój się nieco, bo mnie śmiertelnie przestraszasz! O cóż tu chodzi?

— Chodzi, księże Andrzeju, o odwrócenie wielkiego nieszczęścia, chodzi o ratowanie honoru kobiéty, spokoju starego przyjaciela, którego tak jak i ja kochasz i poważasz, o odwrócenie hańby z jego siwych włosów, o ratunek młodego człowieka, którego wprawdzie dobrze nie znam, ale którego może czeka los mego biednego bratanka Antosia!...

— Bóg z nami! — zawołał przerażony ksiądz Andrzej i wznosząc oczy ku niebu, wyciągnął dłonie, jakby chciał odżegnać nieszczęście, o którém mówił Zyberg.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

KOŚCIUSZKO

przez

Karola von Holtei.

O, nie pragnijcie znać moich losów,
Wy którym życie nadzieją lśni:
Zbudziłbym musiał zmarłych kolosów,
I wyrwać z serca już wyschłe łzy...
Bo z życia mego co walką wrzało,
Bo z zwycięstw strojnych w wawrzynów woń,
Nic mi dziś, bracia, nic nie zostało,
Tylko mój honor i siwa skroń!...

Nadzieje moje wszystkie rozwiane —
Jedne po drugich pierś pożegnała...
Nawet młodości sny ukochane
Młodzieńcza dusza żegnać musiała!
Jako ojczyzny żołnierz pancerny,
Po walce — wrogom rzuciłem broń!
Tylko mój honor został mi wierny
Tylko skrwawiona została skroń!

Rzuciłem Polski święte podwoje,
By wolnéj ziemi zostać żołnierzem...
O, nie pytajcie o imie moje:
Dziś tylko martwym jestem rycerzem...
Płaczcie los Polski, nie moją bliznę:
Już nie do szabli skostniała dłoń...
Do grobu złożę, płacząc Ojczyznę,
Honor mój wierny i martwą skroń!

Henryk Merzbach.

TEORJE POLITYCZNE XVI WIEKU

skreślił

Dr. W. M. Olendzki.

I.

Teorje i pamfleta stronników Reformy.

(Ciąg dalszy.)

Wyraziwszy niebezpieczeństwa połączone z powstaniem tumultualnym, daje on pojęcie tego co nazywa ludem. „Ludem, mówi on, nazywam w tym razie wybranych z ogółu przedstawicieli (qui universum populi coetum representant). Ci zebrani razem stanowią radę, parlament lub sejm, do nich należy opieka nad prawami, a zatém i powołanie ogółu do obrony swych praw.“ Dotąd ograniczał Languet prawo oporu do jednego wypadku t. j. do obrony pokrzywdzonych praw Boga.

Przy rozwiązywaniu jednak 3go pytania idzie on nierównie daléj.

Panujący jest związany ugodą nietylko z Bogiem, lecz i z narodem, lud jest nietylko poręczycielem ale i stroną ugody, opór zatém przeciw nadwerężaniu praw obywatelskich i politycznych jest również prawomocny. — Zasada ta przyjętą była przez prawników wywodzących początek Imperium z cessji ludu rzymskiego. Lecz cessja ta, mówiono, zawiera w sobie zrzeczenie się zupełne praw zwierzchności ze strony ludu, jak również niszczy prawo odebrania nadanéj władzy napowrót; wreszcie, mówiono, lud który żyje obecnie nie jest tym co stanowił panującego. Na twierdzenia te odpowiada Languet: „Przepisy podobne przeciwne prawom ludu nie istnieją, panujący umierają, lud zaś nie umiera nigdy; jeżeli z powodu niedołęztwa mniejszości piastującéj urzęda tyranja zaprowadzoną została, to lud nie jest bynajmniéj zobowiązany do cierpienia takowéj. — „Nec demunt anni quidquam juri populi, set addunt injuriae regis.“

„Władza ustanowioną została dla utrzymania równowagi i sprawiedliwości w międzyosobowych stosunkach, dla silnego zabezpieczenia się przeciw napadom ze-

wnętrznym. Celem państwa jest dobro ludu, władza zaś nie jest honos sed onus, non immunitas sed munus, non vacatio sed vocatio. Te i kilka następnych słów są jedynym prawdziwie pięknym ustępem w dziele Languetta, w tym utworze bezwątpienia niepospolitego lecz rozprzężonego umysłu. „Królowie, mówi on, są opiekunami prawa, przestrzegaczami sprawiedliwości, żeby jednak stanowiska swego nie nadużywali, to dodane im są do pomocy różne rodzaje zeprezentacji ludowéj właściwe każdéj formie rządu. Prawo jest duszą panującego, według któréj żyć, czuć i sądzić powinien. Panujący zaś jest ciałem prawa. — Sprawiedliwym nie jest to co król nakazuje, lecz król staje się sprawiedliwym jeżeli to co nakazuje jest takiém.“ Zastanawiając się nad władzą króla, nad życiem i mieniem poddanych, mówi Languet: „Kuplerzy nadworni utrzymują, że król ma nieograniczone prawo życia i śmierci, podług mnie, król jest tylko wykonawcą prawa, inaczéj nie jest zwierzchnikiem lecz tyranem, nie sędzią lecz rozbójnikiem. Poddani nie są niewolnikami króla, złączeni razem są jego zwierzchnikiem, brani pojedynczo — braćmi.“ — „Nie mając prawa nad życiem, nie ma również panujący prawa nad majątkiem, niepodobieństwem jest bowiem aby ludzie cierpieli zwierzchnika rabującego zebrane z trudem mienie. — Wszystko mi jedno, mówi Agricola, kto mnie okrada, król czy nieprzyjaciel, w obu razach umieram z głodu. — Nie będąc panem dóbr prywatnych, nie jest panujący właścicielem publicznego skarbu, godność bowiem panującego nie jest posiadłością lecz urzędem.“

Po tych płytkich lecz charakterystycznych wywodach, dowodzi Languet, iż warunkowa dla ludu, bezwarunkowa zaś dla króla ugoda staje się niebyłą, jak skoro ten ostatni ją gwałci. Naród wypowiada w tym razie posłuszeństwo tyranowi nie stając się bynajmniéj winnym niewiary lub zdrady.

Languet odróżnia dwa rodzaje tyrana:

1) Tyran absque titulo, uzurpator władzy bez woli ludu.
2) Tyran ab exercitio, nadużywający prawnie nabytéj władzy.

Postępowanie ludu z każdym z tych dwóch rodzai tyranów winno być inne. Podnieść oręż przeciw pierwszemu pozwala nam prawo boskie i ludzkie.

Co do drugiego, to, mówi Lauguet, „nie należy się spieszyć z wyrokiem i wypowiedzeniem wojny, należy go przedewszystkiém napomnieć; jeżeli on jednak trwa daléj w złém postępowaniu, jeżeli gwałcąc prawo, ciemięży całe państwo, to powinien być uważany za buntownika i jako taki karany.“ Wszelka rewolucja, mówi Languet, obalająca rząd niesprawiedliwy, jest słuszną, wszelka rewolucja obalająca rząd sprawiedliwy, jest karogodnym buntem.“

Kończąc, mówi nasz autor, iż wolno jest uciekać się do oręża tak dobrze w obronie religji, jak w obronie ojczyzny i ognisk domowych!

Taką jest teorja wyłożona w Vindiciae contra tyrannos. Krytykować ją ze stanowiska dzisiejszéj nauki byłoby to chcieć tracić napróżno słowa, cała ta bowiem czcza, niesystematyczna mięszanina prawa cywilnego z publiczném, bezowocne deklamacje, zupełna nieobecność uzasadnienia bezwiednie postawionych teorji, od wszelkiego sądu się uchyla. Nie należy jednak ani na chwilę zapominać stosunków epoki, w któréj dzieło to napisane było, nie należy surowo sądzić ludzi, którzy śmiało rzuciwszy się na gęste zastępy despotyzmu, rozwojowi wolności drogę torowali.

§. XVIII.

Uczony protestant szkocki Grzegorz Buchanan w dziele swojém „De jure regni apud Scotos“ daléj jeszcze idzie aniżeli Languet. Dzieło to napisane w formie djalogu dowodzi, iż rząd cywilny wychodzi z wyboru, że posłuszeństwo Szkotów dla ich zwierzchnika jest warunkowe, że panujący zobowiązuje się implicite czuwać nad dobrem publiczném i wolnością każdego i wszystkich, że niedopełniając tych obowiązków, staje się tyranem i usprawiedliwia wojnę, któréj podniesienie jest najświętszym obowiązkiem każdego obywatela, że obowiązkiem tym uświęconym przez ewangelję jest zadawać tyranowi najdotkliwsze klęski i śmierć jak skoro popadnie w nasze ręce.

§. XIX.

W tym samym duchu piszą inni emigranci szkoccy i angielscy, prześladowani za religję podczas panowania Sztuartów, jak to zobaczymy z „krótkiego traktatu o władzy politycznéj“ przez biskupa of Winchester Jana Poynet. Dziełko to dość trywialne wydane w 1558 roku, daje odpowiedź na siedm następujących pytań:

1) Zkąd bierze początek władza polityczna, w jakim celu została ustanowioną, jakie są jéj prawa i obowiązki?
2) Czy władza ta jest nieograniczoną?
3) Czy władza podlega prawu Boga i prawom krajowym?
4) Do jakiego stopnia winni są poddani posłuszeństwo?
5) Czy dobra poddanych należą do panującego i czy on może sobie takowe przywłaszczać?
6) Czy wolno jest składać z tronu złego panującego a zabić tyrana?
7) Czy należy ufać panującemu i możnowładcom?

Autor odpowiada na każde pytanie w osobnym rozdziale z zasady ultra-demagogicznéj i każdą odpowiedź popiera podług ówczesnego zwyczaju licznemi przykładami z historji staréj, nowéj i świętéj, nie szczędząc deklamacji i fałszywego podawania faktów historycznych. „Liczne i nieustające przykłady historyczne złożonych z tronu panujących i zabitych tyranów, dowodzą iż czyny te są sprawiedliwe i zgodne z wolą Boga.“ Następują przykłady ze starego testamentu i historji angielskiéj, jak n. p. sprawa Edwarda II i Ryszarda II, złożenie z tronu współczesne Poynetowi Chrystjana Duńskiego i t. p., daléj mówi wielebny biskup autor: „Tak jak dla spraw i zbrodni osób pojedynczych ustanowił Bóg urzęda, tak też życzy on, aby i występki i nadużycia urzędów były poprawiane i karane. W Anglji istniała dawniéj władza wielkiego konetabla, z mocy któréj król był przywoływany przed parlament dla zdania sprawy ze swoich postępków i osadzenia w więzieniu, jeżeli okazała się tego potrzeba“[1]. — Dowodząc prawomocności królobójstwa, utrzymuje Poynet, iż źródło tego prawa leży w naturze rzeczy, w prawie natury, ustanowioném i zapisaném w sercu i umyśle naszym przez Boga samego. Pierwsza szlachta, mówi on daléj, powstała nawet z ludzi, którzy z własném narażeniem się zostali mścicielami krzywd ludu, oswobodzając go od nienawistnych tyranów.

Taką jest teorja jednego z prałatów kościoła anglikańskiego, tego samego kościoła, który, jak mówi Hallam, stawszy się kościołem panującym w Anglji, potępiał najsrożéj wszelką rewolucję i opór przeciw nadużyciom i bezprawiom władzy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

[1]) Jest to fałsz, podobny wyznawanemu niegdyś w Niemczech mylnemu przekonaniu, iż pfalzgraf reński posiadał prawo sądu nad cesarzem.

TRZY SPOTKANIA.

(Z Turgenjewa).

Passa quei' colli e vieni allegramente,
Non ti curar di tanta compagnia
Vieni, pensando a me segretamente
Ch'io t'accompagna per tutta la via.

I.

Nigdzie tak chętnie nie wyjeżdżałem latem na polowanie jak do wsi Glinnoje, odległéj o wiorst dwadzieścia od moich dóbr. Przebiegłszy w niéj wszystkie zarośla i pola, zazwyczaj wieczorem powracałem do wioski, aby tam przenocować u jednego z gospodarzy. Droga prowadziła przez dolinę, na któréj przednim planie stał dwór niezamieszkały, otoczony ogrodem. Zawsze niemal gdy mi wypadło koło tego domu przechodzić, oświecało go jaskrawe światło zachodzącego słońca i przypominam sobie, że dom ten z szczelnie pozamykanemi okiennicami robił na mnie wrażenie niewidomego starca, grzejącego się w cieple słonecznych promieni. W samym dworze widocznie, sądząc z pozoru, od dawna nikt już nie mieszkał; małą boczną oficynkę jednak zamieszkiwał wyzwolony poddany, wysoki, o szerokich barkach i siwych włosach staruszek z wybitnemi, pełnemi wyrazu rysami. Miał zwyczaj godziny całe przesiadywać na ławeczce stojącéj przed jedynéın oknem oficynki i w poważnéj zadumie patrzyć gdzieś w dal — przed siebie. Skoro mnie spostrzegł, podnosił się zwykle nieco i witał z tym powolnym, uroczystym ruchem, zwykłym sługom już nie naszych ojców, ale naszych dziadów. Często rozpoczynałem z nim gawędę, nie był on jednak rozmownym: od niego dowiedziałem się tylko, że wioska ta i dwór należą do wnuczki jego dawnéj pani, wdowy, mającéj młodszą siostrę; że obie pędziły życie w miastach lub za granicą, rzadko bardzo zaglądając do swéj posiadłości.

Raz zdarzyło mi się dłużéj niż zwykle przeciągnąć polowanie, powracałem późnym już wieczorem. W około głęboka panowała cisza... Przedemną widniały ciemne drzewa ogrodu, oświetlonego księżycem. Był to wedle starego zwyczaju wielki taras porosły trawą, jak pod sznur wyciągnięte ścieżki schodziły się w samym środku formując klomb gęsto astrami zarosły. Wysokie lipy otaczały w regularnych odstępach ogród; w dwóch tylko miejscach przerywał się ten kordon i z po za lip spostrzegłem część niskiego domku z dwoma, ku wielkiemu memu zdziwieniu, oświeconemi oknami. Młode jabłonie sterczały tu i owdzie po nad tarasem; jakiś dziwny, jakby powstrzymywany szmer od chwili do chwili dolatywał z ich liści; zdało się, jakby zapraszały, aby przejść prowadzącą wśród nich drogą, jakby wabiły pod swe cieniste wiązania. Całe niebo posiane było gwiazdami... Wszystko drzémało. Powietrze ciepłe i przesiąkłe zapachem kwiatów dziwnie było spokojne, czasami tylko przebiegało je drżenie jak wodę, gdy w nią upadnie oderwana od drzewa gałązka... Czułeś tęsknotę jakąś, jakieś pragnienie oddychając tém ciepłém powietrzem... Na co oczekiwała ta marząca noc z szafiru?

Dźwięku, żyjącego głosu czekała ta cisza zasłuchana — wszystko przecież milczało... Dziwnego jakiegoś rodzaju uczucie zaniepokoiło mi serce, nie było to ani oczekiwanie szczęścia, ani wspomnienie ubiegłego, a przecież... nie śmiałem poruszyć się z miejsca, zamarzony stanąłem przed tym ogrodem pozbawionym wszelkiego ruchu i życia, świecącym rosą i blaskiem księżycowym i sam nie wiedząc czemu, patrzałem bezprzestannie w owe dwa okna, błyskające matową czerwonością na tle ogólnego półcienia. Nagle zabrzmiał akord — zabrzmiał i przebiegł jak fala... powietrze poruszone powtórzyło go echem... mimowolnie drgnąłem.

W ślad po akordzie usłyszałem głos kobiécy... chciwie słuchałem tych tonów i — jakże opiszę mój podziw? dwa lata temu we Włoszech, w Sorrento słyszałem pieśń tę samą, tenże sam głos... Tak, tak...

V i e n i p e n s a n d o a m e s e g r e t a m e n t e... To téż same tony, poznałem je... Wówczas tak było: po długiéj przechadzce nad brzegiem morza powracałem do domu. Szybkim krokiem szedłem ulicą; noc rozpoczęła się dawno, południowa noc, nie cicha, smutno-melancholijna jak nasza, nie! pełna światła, ponętna i wspaniała jak szczęśliwa kobiéta w wieku rozkwicie. Księżyc świecił bajecznie jasno; po obu stronach ulicy ciągnęły się mury ogrodów, z których opuszczały się gałęzie drzew pomarańczowych, przeciążonych owocem. Co do mnie, szedłem moją drogą, przyzwyczajony już do tych wszystkich cudów włoskiéj nocy, myślałem wyłącznie o tém, jakby najprędzéj dojść do hotelu; nagle z pawilonu wznoszącego się po nad murem, do którego dochodziłem, dobiegł mego ucha śpiew kobiéty. Śpiewała nieznaną mi piosenkę, w głosie jéj leżało coś tak ponętnego, i ona sama zdała mi się tak przejętą namiętném i radosném oczekiwaniem, leżącém w słowach pieśni, że mimowolnie stanąłem i podniosłem głowę. W pawilonie były dwa okna, oba jednak zapuszczone żaluzjami, z po za ich szpar wązkich migotało matowe światło. Dwukrotnie powtórzył głos v i e n i, v i e n i, potém ucichł; jakiś dźwięk cichy a niepewny dał się słyszeć, jak brzęk strun zsuwającéj się na dywan gitary, zaszeleściła suknia, podłoga lekko zaskrzypiała. W jedném z okien pociemniały szpary światła... ktoś wewnątrz zbliżył się doń i oparł. Cofnąłem się o dwa kroki; naraz zaskrzypiały zawiasy żaluzji, otworzono ją; — wysmukła postać kobiéca, ubrana biało, szybko wysunęła zachwycającą głowę i zawołała, wyciągając ku mnie ręce: „S e i t u?“ W pomięszaniu nie wiedziałem co odpowiedzieć, w téj saméj chwili przecież odskoczyła nieznajoma z lekkim okrzykiem od okna, żaluzja spuściła się a światło w pawilonie przyćmiło się jeszcze więcéj, jakby je kto do dalszego przeniósł pokoju. Nieruchomie stałem tak długą chwilę, czas jakiś jeszcze nie mogąc przyjść do siebie. Twarz kobiéty, która mi się tak niespodzianie ukazała, była niezwykle piękną. Za prędko znikła mi z oczu, abym mógł dobrze każdy jéj rys zapamiętać; ogólne wrażenie przecież dziwnie było silne i głębokie... Wówczas zaraz poczułem, że twarz tę pamiętać będę przez całą wieczność. Światło księżycowe padało właśnie na ścianę pawilonu, na owo okno, w którém mi się ukazała; Boże! jak potężnie błyszczały w tém świetle jéj wielkie, ciemne oczy, jak spadały w ciężkich falach jéj czarne włosy nawpół rozrzucone na wyciągnione posągowe ramiona! Ileż wstydliwéj czułości w tém pochyleniu ciała, ile pieszczotliwości w głosie, gdy zawołała owym nagłym a przecież dźwięcznym szeptem! Postawszy tak chwilę w miejscu, cofnąłem się wreszcie w cień przeciwległego muru i ztamtąd spoglądałem na pawilon. Słuchałem... słuchałem z natężoną uwagą... wreszcie posłyszałem z dala kroki... zbliżano się; jakiś człowiek, tego niemal co ja wzrostu, ukazał się na drugim końcu ulicy, szybko postąpił ku furtce, któréj przedtém nie dostrzegłem, zapukał nie oglądając się dwa razy żelaznym pierścieniem, wiszącym u furtki, poczekał chwilkę, potém raz jeszcze zapukał i wymówił półgłosem: „E c c o r i d e n t e“... Furtka otwarła się... szybko przemknął się przez nią. Zbudziłem się z odurzenia, wstrząsnąłem głową, opuściłem skrzyżowane dotąd ręce i nasunąwszy na brwi kapelusz, gniewny powróciłem domu.

Nazajutrz chodziłem całkiem bezskutecznie podczas największego skwaru przez dwie godziny przeszło po ulicy przed pawilonem i opuściłem Sorrento tego samego jeszcze wieczora, nie zwiedziwszy nawet domu Tassa.

Może więc sobie czytelnik wyobrazić zdumienie, jakiego doznałem, gdy niespodzianie w puszczy, w jednéj z najodleglejszych stron Rossji tenże głos, też piosenkę znów posłyszałem... Jak wtedy i teraz była noc; jak wtedy odezwał się nagle głos z oświetlonego nieznanego domu; i jak wtedy, dziś także byłem sam. Mocno uderzyło mi serce. „Czy to nie sen?“ pomyślałem. I znów zabrzmiało końcowe: Vieni... Czyż i teraz otworzy się okno! czy w niém znów ukaże się kobiéta? Okno otwarło się. Stanęła w niém postać niewieścia. Poznałem ją natychmiast, choć między nią a mną była przestrzeń pięćdziesięciu kroków, choć lekka chmurka zasłaniała księżyc. To była ona, moja nieznajoma z Sorrento. Nie wyciągnęła jednak jak wówczas obnażonych swych ramion: spokojnie skrzyżowała je, potém wsparłszy się niemi o okno, patrzała milcząco i nieporuszenie w ogród. Tak, to była ona, jéj pamiętne mi rysy, jéj oczy, którym podobnych nigdy nie spotkałem. Szeroka biała suknia i dziś odznaczała jéj kształty. Wszystko w niéj oddychało pewnością, spokojem, zadowolnieniem, tryumfem piękności i szczęściem miłości.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Bełza Władysław. Poezje. Wydanie nowe. Poznań, nakładem J. K. Żupańskiego, 1871.

Dziś dopiéro przystępujemy do rozbioru wydanych od wielu miesięcy Poezji Władysława Bełzy. Przyczyną zwłoki było współpracownictwo samego autora przy Tygodniku, oraz przekonanie, że kompetentniejsze pióro zajmie się ocenieniem płodów młodego poety. Gdy wszakże pół roku już z górą minęło, a oczekiwania nasze pozostały bez skutku, poczuwamy się do obowiązku wydania sumiennego a bezstronnego sądu o utworach, które po raz pierwszy w całkowitéj edycji na świat wyszły. Znaleźliśmy wprawdzie wzmiankę o nich w Tygodniu drezdeńskim i w Woli lwowskiéj, lecz są to jedynie bardzo pobieżne sprawozdania. — Tydzień po długim i ogólnikowym, acz pięknym wstępie, ledwie słów kilka rzeczy saméj poświęcił, a nieboszczka Wola w trzecim i ostatnim swym numerze, przeglądem rzeczonych poezji dała sobie najlepsze testimonium paupertatis. Niejaki pan H. W. popełniwszy szumną a niedorzeczną przedmowę, w któréj rozprawia o poezji polskiéj w XIX stuleciu, o fantazji twórczéj, wyobraźni i refleksji, o partenonie narodowéj poezji, — o Dziadach, Panu Tadeuszu, Fauście, Królu Lirze, Iljadzie, — o Słowackim, Krasińskim, Getem, Szylerze, Zaleskim, Goszczyńskim, Gorczyńskim(!), El...ym i Mickiewiczu, którego stawia na równi z Szekspirem — palnął p. Bełzie arcy-niezgrabny panegiryk.

Nie wiemy w rzeczy saméj, co więcéj podziwiać, czy niedowarzone wyroki cnego arystarcha, czy też zarozumiałość, z jaką mówi o wszystkiém, na czém się nie zna. Cytuje ustęp z Fragmentu:

Było to dziewczę hoże, uśmiechnięte,
Na poły ziemskie, a na poły święte.
Z jasnemi sploty warkoczów u czoła,
I z rozwianemi skrzydłami anioła!
A tak się światu uśmiechała słodko,
Tak się wdzięczyła, jak róża do słońca!
Zgasłaś już, zgasłaś serdeczna pieszczotko!
Zaszło słoneczko w mrok ciemny bez końca —

i nazywa go „sielskim, rzewnym, kwiatem może utworów młodego piewcy“ — przytacza następny czterowiersz:

Więc nie zginęłaś Ojczyzno moja!
Ty nam wygnańcom świecisz jak zbroja:
A gdy blask nocnéj rozstrzeli zorzy,
Bóg nam tę zbroję na pierś położy! —

i zalicza go do najpiękniejszych, podczas gdy obadwa urywki należą do słabszych: pierwszy jest mdłym i konwencjonalnym, drugi nawet nielogicznym — porównanie ojczyzny do zbroi wielce kuleje, szczególniéj, gdy ją się ma na pierś położyć, a blask, co z nocnéj rozstrzeli zorzy — jest wyrażeniem nieudatném i naciągniętém.

Ale czas nam już rozstać się z lwowskim krytykiem, któregobyśmy byli pozostawili spoczywającego na efemerycznych laurach, gdyby nam nie był wszedł w drogę. Głównemi zaletami p. Bełzy są: piękny język i charakter przedmiotowy jego utworów, czystość natchnienia, jasność i prostota wyrażenia, czego brak tak bardzo czuć się daje u nowszych naszych poetów. Zdaje się tym panom, że się urodzili poetami, a więc nie potrzebują się trzymać żadnych zgoła prawideł, ani studjować wzorów — sami oni torują sobie drogi, a ciemność i nieład w treści i formie mienią Hugonowskim półcieniem, objawem oryginalności i bogactwa wyobraźni. O nich mówi Kremer: „Zaiste papiérowe to latawce, uwiązane na sznurku i puszczone z wiatrem ręką dziecka z fary. Lada kto woła: est Deus in nobis, ale tym Deus, tém bóstwem dającém mu natchnienie, nie jest zaprawdę Apollo, ale niższy jakiś bożek. Rzekłbyś bowiem, czytając takie płody, iż tym wieszczom krynica kastalska na Węgrach płynie, i że to natchnienie ich jest natchnieniem greckich bachantek, nielaurowym ustrojonych wieńcem.“

Rozpoczyna się zbiorek kilkunastostronnym poematem p. t. Zamek grójecki. Treścią powieści, osnutéj na podaniu miejscowém, jest okrucieństwo, jakiego się dopuścił Menzdorf, generał wojsk Karola XII, na staroście grójeckim, którego pod pozorem układów przywabił, a następnie zdradziecko zamordował, kładąc mu rozpaloną koronę z żelaza na czoło. Poemat ten przed trzema, jeśli się nie mylim, laty, nader zachwalany przez jednego z krytyków warszawskich, który go czytał w rękopisie (Leonard Sowiński) — jest zdaniem naszém poronionym płodem. Widocznie autor wybrał sobie niewłaściwy temat — język jego słodki i miękki, nie może się nagiąć do twardych wyrazów, jakich wymaga opis wojennych zaburzeń i groza sytuacji, a talent na wskroś liryczny nie nadaje się do utworów o epicznym zakroju. Ztąd też tyle w Zamku grójeckim czczéj deklamacji, bo liryzm tłumiony przemocą, od czasu do czasu wyrywa się z krępujących go więzów, jak n. p. str. 4:

O! Panie! Panie! spojrz na twe sługi!
Na owe łuny krwawemi smugi
Opasujące kraj nasz jedyny!
Panie! miéj litość nad twymi syny! itd.

albo str. 6:

O młodzi polska! po wiek i ninie,
Błogosławionaś, w bólach zrodzona,
Ty umiesz zawsze w trwogi godzinie,
Męzki hart dobyć z młodego łona!
Więc kryzmem wiary dziś pierś twą zbroję,
I twoje serce i piersi młode:
Na krwawe walki, na ciężkie znoje,
I na męczeństwo i na swobodę.

albo str. 11:

Panie, my błagać ciebie nie w sile,
Bo wielkie nasze błędy i grzechy,

Lecz Miłosierny! przybliż tę chwilę,
Za wiek niedoli chwilę pociechy!
Matko Bolesna! itd.

Pan Bełza nie posiada daru wywoływania tragicznych effektów — scena męczeństwa starosty nie robi na czytelniku wrażenia — zmniejszają je następne słowa:

A taką postać miał wódz Lechitów —
W onéj godzinie jakby z błękitów
Święty męczennik w jasnéj koronie!

W ogóle zbyt idealnemi rysy maluje nam poeta swego bohatera — jestto postać może bardzo wzniosła, lecz bez krwi i kości — nie typ, jedno niewcielona idea. Jeden z siepaczy szwedzkich daje mu policzek — starostą miota naprzód wściekłość dzika, już, już miał pomścić się zniewagi, ale po chwili wspomniał o Bogu i rzekł:

O niech ci tego Bóg nie pamięta!

Sentencja bezwątpienia piękna, chrześciańska, lecz znieważony przez Szweda szlachcic polski z pewnościąby jéj sobie nie przypomniał!

Pięknym jest poemat p. t. Polskiemu pacholęciu. Autor zapytuje pacholę, o czém marzy, czemu troska osiadła mu na czole, czemu oczy łzą zachodzą, a pierś się wznosi westchnieniem:

Nie płacz, nie płacz synku drogi,
Żeś na ziemi swéj ubogi!
Że nie miecz ci, ani radło,
Lecz tułactwo w doli padło...
Żeś łzy tylko i cierpienia
Odziedziczył z twego mienia!

Przez Bóg żywy — to fałsz dziecię!
Naprzód wziąłeś na tym świecie,
To co rodu twego znakiem:
Imię zacne, — żeś Polakiem.
A czy wiesz ty, ile cześci,
Krwi i sławy w niém się mieści?
Czyś policzył te rozwiane (?)
Na kurhanach twoich krzyże?
I te stepy zaludniane
Braćmi twymi na Sybirze?

O! puść w niebo wzrok zuchwalczy!
Ile gwiazd się złotych wije,
Tyle ludu twego walczy,
Tyle pada — tyle żyje!
I nadstawia piersi krwawéj
Dla imienia tego sławy!

Patrz; u progu krzyżem leży
Jakaś postać krwią oblana;
Wzrokiem wzgardy królów mierzy.
O! poznałeś! twarz Rejtana!
Krew ci w piersiach wre namiętniéj,
Pomnij synu! za tym wzorem
Życia swego pójdziesz torem,
Z krwią, co w żyłach jego tętni.

Daléj poeta stawia przed oczy pacholęcia polskie łany, lasy, jeziora, rzeki — mówi, że kto ma taki kraj, ten nie ubogi, i zalecając mu ufność, woła:

Jeszcze Polska nie zginęła!

Cierpliwości każe mu się uczyć od Konarskiego poświęcenia i cnoty od Zana, nauki od Czackiego i Staszyca, prowadzi go na Wawel przed marmurowe trumny:

Tu nadziei żar i wiary
Niech się w sercu twém rozgości!
Na ołtarzu tym ofiary,
Poświęcenia i miłości!

Tu uczucia najgorętsze,
W młodém swojém rozniec łonie!
Bo tu wszystko, co najświętsze,
W tym złożono Panteonie! —

wskazuje grób króla kmiotków, Władysława Jagiełły, Warneńczyka, Jana III, Kościuszki, X. Józefa i kończy wiarą w lepszą przyszłość:

Młodzi polska! w twojém łonie,
Ziarna tego wschodzi zaród!
Ty dziś stoisz na wyłomie,
Za ojczyznę i za naród!

Tobie nasze strzedz ołtarze,
I nie puszczać korda z dłoni!
I stać wiernie przy sztandarze,
Archanioła — i Pogoni!

W przytoczonych ustępach zauważył już zapewne czytelnik potężny wpływ śpiewaka Pieśni o ziemi naszéj. Nie ujmuje to wcale p. Bełzie, owszém poczytujemy mu za zasługę, że nie ubiegając się za pseudo-oryginalnością, kształci się na najlepszych wzorach — bo słusznie powiedział w jednéj ze swych prelekcji o literaturze słowiańskiéj Adam Mickiewicz: „Poeta nim wzbije się w przyszłość, wpierw winien przejść wszystkie te szkoły, które go poprzedziły.“

Mniéj szczęśliwym jest Fragment, który choć ma śliczne ustępy i język miejscami przepyszny, jako całość, zwłaszcza na początku i ku końcowi jest słabym. Niech nam wolno będzie przytoczyć bodaj kilka wierszy:

W jarze wrzał potok: a nad jego brzegiem,
Płaczące brzozy przyklękły szeregiem,
I ciche łkania i skargi swe wdowie,
Szeptały nurtom, niebu i dąbrowie.
....
I wierzyć temu, co mówią oszczerce:
Miłość starzeje! Ot! słów marnych szkoda,
Bóg dał ludzkości wiecznie młode serce,
A więc i miłość wiecznie będzie młoda.

Z poezji mniejszych zwracają na siebie uwagę tak sympatyczną treścią jak wdzięcznym i śpiewnym językiem: W górach, Na emigracji, Nocą, Rytm na uroczystość odkrycia królewskich szczątek Kazimierza W., Polskiemu dziewczęciu — i tęskny a rzewny śpiew Modlitwa. Dr. Omega w Tygodniu powiada, że w Modlitwie odbił się podobny hymn Słowackiego: Na morzu. Śmiem temu zaprzeczyć — w żadnéj z poezji Bełzy nie widać wpływu Słowackiego, od którego o całe niebo pod każdym względem jest oddalony; natomiast widzimy raczéj przejęcie się Kornelem Ujejskim zarówno w tym utworze, jak w Melodjach biblijnych.

W Pieśni o kaganku, Niewesołym krakowiaku i Wiązce drzewa — myśl społeczna piękna, lecz przeprowadzenie nienaturalne — Kartka z życia razi tonem bajroniczno-sentymentalnym, tak niewłaściwym p. Bełzie — Do Polek myśl dobra, lecz forma mdła i ogólnikowa — Bądź człowiekiem i Kobiécie — robią wrażenie komunału.

Wiersz: Ecce dolor pełen rzewnéj powagi i namaszczenia, czytaliśmy już w wybornym przekładzie Ludwika Kurtzmanna, tłomacza Pieśni o ziemi naszéj i w. i. Niezrównaną lekkością i humorem odznacza się Wlazł kotek na płotek — a trafne uchwycenie myśli oryginału w przekładach z Petöfiego, W. Hugo a mianowicie Szylera (Rezygnacja) przekonywają nas, że autor mógłby z korzyścią dla literatury przyswajać płody obcéj muzy.

W końcu, niech nam wolno będzie oddać hołd zasłudze, jaką poeta położył około dobra narodowéj sceny. On pierwszy urzeczywistnił myśl budowy teatru, on napisał

prolog, którym rozpoczęto pierwsze przedstawienie, a którego z żalem nie widzimy w niniejszym zbiorze, on w wierszu p. n. Polskim muzom, zapytuje:

Gdzież wy teraz, rozwiane muzy narodowe?
Pierś wam z togi odarto — a z promieni głowę.
Depcą po waszych progach przybysze nieznani,
A świątynię wam obcy kalają kapłani!

a kończy następną strofą:

A więc rzucam pieśń moją, niechaj do was płynie,
Niech będzie pierwszą cegłą na nową świątynię,
Niech jak żebrak się czołga od progów do progów,
Aż wybłaga przytułek dla ojczystych bogów.

K. K.

Wycieczka do Saskiéj Szwajcarji

przez

Hr. na Lodowéj Turni.

(Dalszy ciąg).

By ją można tém lepiéj ocenić, czuję się zniewolonym przytoczyć tu owo mistrzowskie porównanie jéj przez Łapczyńskiego do poematu, który piękności Tatr wyśpiewuje. Sądzę też, że każdy zwiedzający Kościeliską dolinę powinienby się z tegoż samego na nią zapatrywać stanowiska. Inaczéj nigdy jéj piękności nie oceni jak się należy i ducha z niéj wiejącego nie zrozumie dokładnie.

„Szeroko po świecie rozeszła się sława kościeliskiéj doliny i słusznie: żadna pierś nie oprze się jéj urokom. Choćbyś był niewiem jak ponury i zgorżkły, byleś wszedł na dolinę, jakaś letejska rosa razem z aromatycznem powietrzem wciśnie się do twoich piersi, zapomnisz o wszystkich bólach jakieś na świecie za progiem doliny zostawił, zaczarowany szumem Dunajca, nagle odmłodniejesz i szczęśliwy jak dziecko będziesz się piął na skały, zrywał kwiaty, wąchał pąsowe fjołkami pachnące kamienie, kto wie nawet czy podskakując w pogoń się za motylem nie puścisz. — Kilka już razy poprzednio zwiedzałem Kościeliską dolinę: wrażenia zawsze były jednakowe. I tym razem ledwie wszedłem, niewytłomaczona radość i wesele napełniły piersi moje. Piękność doliny naturalnie była przyczyną téj wewnętrznéj radości. Ależ w stu miejscach w Tatrach są bez porównania wspanialsze lasy, obszerniejsze polany, Łomnica, Krywań i mnóstwo innych szczytów daleko majestatyczniejsze od Pysznéj*): dla czegóż nigdzie nie doświadczamy téj radości, tego odmłodzenia, téj lekkości myśli, tego złotego humoru, jak w tém szczęśliwém zaczarowaném ustroniu?!...

Idąc wzdłuż doliny w myśli mimowoli pracowałem nad odpowiedzią na to dla czego. W odpowiedzi na zadane sobie pytanie, coraz nowe teorje pejzażowéj piękności szybko budowały się w głębi mego umysłu, szukając potwierdzenia w otaczających mnie przedmiotach. Dziwną roskosz sprawiała mi ta wewnętrzna praca z oglądaniem najpiękniejszéj natury i z pieszą wędrówką połączona.

Eureka! Jeszcze połowy doliny nie przeszedłem, gdy zdobyłem zagadkę: zostałem posiadaczem czarnoksięzkiego klucza, który mi karty księgi zapisanéj zapachem polan, kryształową przezroczystością wód, cieniami jaskiń i zielonością lasów, jedną po drugiéj otwierał.

Nasze ludzkie książki są w analogji z boskiemi księgami. Innych doznajemy wrażeń czytając dzieło naukowe, innych traktat moralisty, innych utwór genjalnego poety. Cóż dziwnego, że i Boże księgi, w których skały, stepy, rzeki, jeziora, drzewa i obłoki nasze wyrazy zastępują, coraz inne sprawiają na nas wrażenia. Całe Tatry są skarbczykiem poezji: dla tego jednak nigdzie w tych wspaniałych górach nie doświadczamy téj radości, tego odmłodzenia, téj lekkości myśli, tego złotego humoru jak w szczęśliwéj zaczarowanéj kościeliskiéj dolinie, — bo Łomnice, Krywanie, Morskie oka, Hrube Wierchy i Rohacze, są to poemata wielkie, głębokie, ale posępne i owiane dziwną powagą; gdy tymczasem Boża książeczka w Pyszną, w Stoły i Upłaz oprawna czyli Kościeliska dolina, jest to prześliczny utwór, który nie tytaniczne wojny, nie hymny strąconych aniołów, nie ruiny światów, ale poprostu piękności Tatr z wesołością dziecka wyśpiewuje. Tamte są romantycznéj, ten czysto klasycznéj formy. I z tego zapewne powodu istnieje niezaprzeczony tajemny związek między Kościeliską doliną i starożytną Helladą. Ja przynajmniéj lat poprzednich, chociaż jeszcze dzisiejszego klucza nie posiadałem, Kościeliską dolinę nie legendowym mnichem, nie królem wężów, nie miawkami i dziwożonami, ale zawsze sobie sylwanami, dryadami i tysiącem najad zaludniałem."

*) Pyszna (6913'), jest to szczyt zamykający Kościeliską dolinę.

Tak się zapatruje na Kościeliską dolinę Łapczyński; a że to nie jest utworem rozbujałéj wyobraźni, lecz gruntuje się na rzeczywistych podstawach, o tém przekonałem się naocznie, gdym ją pokilkakroć z pomocą owego „klucza czarodziejskiego" oglądał, i myślę, że każdy turysta témże samém okiem na nią patrzący, przyzna mu słuszność.

Lecz po tém zboczeniu o Kościeliskach wróćmy do doliny Polenz, bo oto i słońce ma się już ku zachodowi, i dolina zbliża się też ku Elbie. Wprawdzie postać jéj zmienia się odtąd, ale na niekorzyść. Owe bowiem pionowe skaliste ściany znikły przemieniwszy się w najzwyczajniejsze wzgórza zagajami i lasem pokryte. Owa prześliczna łąka skończyła także swój przydługi żywot, stratowana zagonami, fabrycznym młynem, płotami i wioską Porschdorf. Również i strumień choć pokorny i cichy utracił swą wolność idąc na posługę to kół fabrycznych, to bielenie płótna, a nawet horrendum! na moczenie lnu, aż nakoniec przepłynąwszy wszystkie plagi towarzystwa dwóch wiosek ukrył się w Elbie ze wstydu.

Z wejściem do doliny Elby zwróciliśmy się znowu na wschód, a idąc brzegiem rzeki wkrótce stanęliśmy w miasteczku Schandau, by tutaj przenocować. Z hotelu naszego, frontem do Elby leżącego, mieliśmy piękny widok na tę słowiańską niegdyś Łabę. To też nie czując wielkiego zmęczenia, długośmy jeszcze w otwartém oknie siedzieli, rozmawiając o dzisiejszéj podróży. Wieczór był miły i ciepły, rokujący na jutro najpiękniejszą pogodę. Księżyc właśnie wzbijał się na pogodne niebo a posrebrzając na niém obłoczki — przeglądał się zarazem w ciemném Elby zwierciadle. Łagodne półświatła i półcienie okryły przeciwległe wzgórza i całą okolicę na pół przezroczystą tajemniczą gazą. Cisza zaległa pracowitą dolinę: nie przerywał jéj ani przeraźliwy świst lokomotywy, ani jednostajny łoskot kół parowca; czasem tylko dolatywały nas urywane głosy robotników, znoszących deski na szkutę, by jutro je spławić do Drezna.

— Co to za różnica ogromna — rzekł po chwili milczenia Tadeusz — między noclegiem naszym tutaj — a w Tatrach! Jakaż tu proza tego życia hotelowego!... Znowu zapominam, żem w górach!...

— Ale ta proza — odparłem — bardzo nam tu jest na rękę. Jnżcić bo przyznać mi musisz, że wygodny nocleg wcale nie jest do pogardzenia. Człowiek się wyśpi a za to nazajutrz jest silny i zdolny do podróży, w Tatrach zaś ile to niewygód i niewczasu.

— Ot nie udawaj na próżno wygody lubiącego sensata, bo wiem że inaczéj myślisz i z pewnością teraz przenosisz się myślą do owych szałasów pasterskich w Tatrach, kędy nie było wprawdzie łóżka z bielutką pościelą, a przecież jak tam było wesoło i miło w towarzystwie górali!...

— Ja też na owe szałasy tak bardzo się nie gniewam, owszem równie jak ty z rozkoszą do nich myślą wracam i sądzę, że dla młodych ludzi są to mimo swych niewygód najpiękniejsze pod słońcem noclegi. Ale pamiętajmy, że tam nietylko młodzież podróżuje, ale i starsi wiekiem i kobiéty i dzieci i chorowici co się leczą żentycą. Jużcić dla takich, a nawet dla nas Herkulesów przydałaby się nieraz oberża. Pamiętasz jakeśmy wracając z Lodowego szczytu drżeli w pustym załasie ze zimna, gdy po burzy dziennéj spadł w nocy :płomierz na + 1° Reaumura. Żeśmy nie zachorowali dzięki młodości naszéj, ale dla osób starszych i deatniejszego zdrowia ciężka by to była próba!... Ot, ... czém zbywa w Tatrach!

— To tam wszystko fraszka — rzekł machnąwszy ręką Tadeusz. — Choć w Tatrach nie ma na czém spać, ale jest za to co widzieć. Tu przeciwnie jest na czém leżeć, ale mówiąc bez przesady, nie ma tak dalece co podziwiać! —

To mówiąc, rzucił niedopalone cygaro z niezadowoleniem przez okno. Dzwon zegarowy właśnie jedenastą uderzył, przypominając nam spóźnioną już porę. Wkrótce też zasnąłem marząc o wodospadzie L i c h t e n h a i n, najsławniejszym w Saskiéj Szwajcarji, który jutro mieliśmy po raz pierwszy oglądać.

Na drugi dzień skoro świt już byliśmy na nogach. Poranek był prześliczny, to też w wyśmienitym humorze opuściliśmy hotel. W mieście już było widać rozbudzone życie: tu nimfa studzienna dąży z konwiami po wodę; tam mleczarka na jednokonnéj biedzie rozlewa białe strugi mléka do nadstawianych zewsząd dzbanków lub garnuszków; owdzie kroczy poważnie pochylony wyrobnik z fajką w ustach, a piłą pod pachą i sakwami na plecach: snać zmierza do lasu na pohybel świerkom; gdzieindziéj na wpół ubrana dziewczyna z pierzem we włosach otwiera z trzaskiem okiennice i patrzy na nas ciekawie.

Za miastem długo się jeszcze ciągły nade drogą wesołe między drzewami domki, wille z ogródkami, oberże czyste i schludne, a wszędzie prawie wywieszone w oknach tabliczki oznajmujące, że tu tyle a tyle pokoi do wynajęcia. Zadziwiła nas ta mnoga liczba pomieszkań, lecz B a e d e k e r nas objaśnił, że w S c h a n d a u są kąpiele wody żelaznéj.

Równie jak dnia poprzedniego tak i dziś mieliśmy odbyć drogę w kształcie przewróconéj litery ∩ czyli podkowy, t. j. wychodząc z S c h a n d a u ku północy trzeba nam będzie skręcić następnie na wschód i w końcu w kierunku południowym powrócić do Elby. Dolina Kirnitsch, którą właśnie idziemy, przedstawiła się nam także pięknie, a przedewszystkiém wesoło. Ale bo też przy wiosennym pogodnym poranku każdy kącik na tym bożym świecie jest wesoły i miły, cóż dopiéro taka dolina jak ta! Nie ma tu wprawdzie po bokach owych opoczystych ścian pionowych, wszakże ciągnące się z obudwu stron wzgórza gęsto narzucone są malowniczemi skał gruppami, wyzierającemi z świerkowych lasów. Droga prowadzi nas między strumieniem K i r n i t s c h a podnóżem północnego pasma wzgórz lesistych. Równolegle z nami, lecz wyżéj nieco, ciągnie się na stoku śród świerków szeroka żwirem wysypana ścieżka urządzona dla wygody gości kąpielowych. Są tam i ławeczki do wytchnienia i altanka, z któréj piękny widok wycięty przez drzewa na dolinę i przeciwległe wzgórza. Spodem doliny na równym poziomie rozścielał się znowu zielony kobierzec bujnéj łąki, suto kwiatem dzierzganéj; południowe zaś wzgórza częścią laskami okryte, częścią uprawne i białemi domkami ożywione. Tuż nade drogą wierny jéj towarzysz strumień wcale przyzwoitych rozmiarów, o przezroczystych nurtach, ale także spokojny, cichy — a pracowity i praktyczny! Zamiast bowiem zawadjacko kręcić się po łące i niepotrzebnym szumem zakłócać błogi spokój mieszkańców okolicznych, płynie sobie regularnie wymierzonėm łożem, pomagając ludziom w robocie: to młyn spory obraca, to łąkę w zbyt suchych miejscach zwilża, puszczając na nią co chwila małą odnóżkę orzeźwiającéj wody. Bo w Niemczech wszystko pracować musi! Oto i tam n. p. za strumykiem jakaś rodzina zajęta bieleniem płótna. Mąż z żoną polewają cienkie półki, a dwoje dzieci na wyścigi dostarcza im wody. Nawet trzyletni Sas z konopiastą głową dźwiga sapiąc dzbanek wody, a choć co chwilę odpoczywa, przecież nakoniec w tryumfie matce go podaje. Trzeba było widzieć radość dziecka, gdy matka oddając mu wypróżniony dzbanek pogładziła po włosach i znowu po wodę posłała, jak znowu popędził galopem w podskokach do strumienia.

Widok obfitego strumienia podwójnie nas zajmował, raz, że dodawał tém więcéj jeszcze życia i tak już przez się wesołéj dolinie, powtóre, że poważna objętość jego wody rokowała nadzieję, iż ów zapowiadany wodospad Lichtenhain będzie wcale imponującéj wielkości. Już naprzód tedy czyniliśmy rozmaite przypuszczenia o jego kształtach i piękności ciesząc się, że i tutaj spotkamy choć jeden egzemplarz téj największéj górskiéj ozdoby, w którą Tatry tak hojnie od natury są uposażone.

Nawet Tadeusz nie drwinkował, bo i on patrząc na głęboki strumień bardzo poważnie się nastroił do oglądania niedalekiéj kaskady.

— Żarty na bok — rzekł — ale tu będzie na serjo wodospad, sądząc po ilości wody. Choćby i nie był bardzo wysoki, to jednak na piękności pewnie mu zbywać nie będzie. Dziwi mnie tylko, że go jeszcze nie słychać: przynajmniéj choć głuchy łoskot powinienby nas już dolatywać!... Cicho!... Stanęliśmy nadstawiając uszu.

— Nic nie słyszę — rzekłem po chwili — musi być jeszcze daleko, choć wedle Baedekera powinienby tu już być gdzieś bardzo blisko.

Idziemy daléj coraz więcéj wytężając uwagę, czy szumu nie usłyszymy. Tymczasem niedaleko przed nami ukazało się kilka zabudowań przytulonych do stromych wzgórz lesistych na lewo od drogi: zdaje się, że to będzie oberża. Ucieszyliśmy się, bo potrzeba posiłku po dwugodzinnym acz powolnym marszu czuć nam się dawała dość dotkliwie. Na wstępie przed zabudowaniami jaśniał na ciemno-zielonėm tle świerków potężny drogowskaz biało malowany. Na nim już zdala czernią się jakieś kolosalne litery. Ciekawi przyspieszamy kroku i oto czytamy zdziwieni:

G r o s s e r W a s s e r f a l l!

— Gdzie? — zapytał mnie Tadeusz.

— Albożja wiem! — odpowiedziałem nie mniéj zdumiony. — Tu sobie strumień płynie spokojnie, widzimy go nawet za owym napisem jak się wlecze ospale. Zresztą płynie on na prawo łąką, a drogowskaz ręką wskazuje na lewo, wprost na te oto wzgórza skaliste. Może więc tam otworzy się nam jaki wąwóz poprzeczny i w nim ukryty znajdziemy wodospad.

Za chwilę stanęliśmy przed słupem. Zdumieni patrzymy w kierunku który nam ręka ukazuje, ale tu żadnego wąwozu, a tém mniéj wodospadu nie widać. Wzgórze tylko skaliste lasem okryte dość stromo podnosi się w górę. Sądziliśmy więc, że odtąd t. j. od drogowskazu skręca się ścieżka na lewo, że wypadnie nam piąć się przez tę górę i za nią nareszcie w innéj jakiéj dolinie trafimy do wodospadu. Dla nabrania sił do téj mozolnéj wędrówki postępujemy ku restauracji. Nade drzwiami bije w oczy manifestacyjny napis:

Restauration zum Wasserfall.

— Co u licha! — zawołał znudzony Tadeusz — toć tu koniecznie musi być gdzieś bardzo blisko ten wodospad, kiedy nawet restauracja pod jego godłem tu stoi!...

— Przecież by go było słychać choć trochę przynajmniéj, — odparłem — bo gdy woda na polu w pierwszym lepszym rowku choć łokieć tylko z góry spada, to już robi chałas nie mały. A tu przecież masz wyraźnie napisane Grosser Wasserfall! Toć to nie żarty być muszą. Trzeba nam się tu spytać o drogę do niego.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

POKŁOSIE.

— Niedawno wyszłą w „Kłosach“ powieść Zygmunta Miłkowskiego „Uskoki“ przełożono na język rosyjski.

— Marja Bobula tłomaczy na język czeski powieść Ludwiki Mühlbach p. n. „Maurycy Beniowski.“

— Dr. Wilhelm Berger ogłosił dzieło p. n. „Johannes Hus und König Sigmund.“

— Autorka czeska Franciszka Hansgirgowa, ur. r. 1823 w Litomerzycach, zmarła dnia 25 czerwca b. r.

— Dramaturg niemiecki Karol Töpfer, ur. w Berlinie r. 1792 dnia 26 grudnia, umarł w Hamburgu dnia 22 sierpnia.

— W Petersburgu wyszła broszura z stenograficznych zapisków p. t. „Dr. Aloizy Pichler i kradzież książek z cesarskiéj bibljoteki w Petersburgu“ O sprawie téj wspomnieliśmy swego czasu.

— „Kraj“ w Nr. 211 zamieszcza co następuje:

Mikołaj Kopernik w Pabianicach. — Według dawniejszych historyków dziad astronoma Mikołaja Kopernika przybył w r. 1396 z Czech do Krakowa i używany był przez kapitułę do posług dóbr pabianickich; jeździł często z Krakowa do Pabianic, a był z profesji powroźnikiem. W Pabianicach poznano Kopernika, oceniono jego cnoty i polecono go kapitule krakowskiéj. Ojciec astronoma mógł być ekonomem lub zarządcą zamku pabianickiego, a syna lepiéj wychowawszy, polecił kapitule krakowskiéj. — Ślady tego twierdzenia pozostały w aktach wspomnianego kościoła i w tradycji żywéj ostatniego z żyjących do dziś dnia Wojciecha Kopernoga. Jeżeli więc kto chce polegać na pisarzach niemieckich, którzy Kopernika mianują Niemcem (może z rodziny pochodzącéj z Westfalji, gdzie podobno dotąd znaleść można wielu chłopów zowiących się Copern), to temu twierdzeniu przeciwstawić można, że oprócz dwóch Kopernogów i Wawrzyńca Kopernika znajdujemy w historji dóbr pabianickich Pawła Kopernika. — Jest nadto kilka metryk, w których rodzina Koperników raz Kopernog, to znowu Kopernok, to wreszcie Kopernik jest wspomniana, a to pochodzi z nieustalonéj podówczas pisowni. — Prawdopodobnie rodzina Koperników przyszła do Krakowa nie z Czech, ale z ziemi Sieradzkiéj z dóbr Pabianice.“

— Auber zapisał konserwatorjum paryskiemu roczny dochód 5,000 franków z zastrzeżeniem, aby one służyły jako konkurs na najlepszą operę komiczną ; z sumy téj przeznaczył on 3,000 dla kompozytora a 2.000 dla autora libretta.

— W operze warszawskiéj występowała niedawno temu z niesłychaném powodzeniem panna Ludwika Miller Czechowska; — pani Jakowicka-Frederici powróciwszy z Hawanny, gości także w Warszawie.

— Michał Hertz wydał sześć śpiewów z towarzyszeniem fortepianu:

„Trzy kukułki“ z pieśni litewskich.
„Krakowiaczek“ Wł. Wolskiego.
„Stary zalotnik“ z pieśni litewskich.
„Na wieki“ K. Brzozowskiego.
„Jasieńko“ hr. Wł. Tarnowskiego.
„To moja córka“ z pieśni litewskich.

— W Włocławku umarł sławny skrzypek Kazimierz Łada, którego „Kujawiak“ i „Cyganka“ znane są w całym polskim, muzykalnym świecie. Pierwszy zwłaszcza przetrwa wiele innych tego rodzaju utworów, bo artysta, sam Kujawiak, dziwnie w nim umiał połączyć ową rzewność i brawurę, te dwie struny składające narodową nótę Kujawiaka.

— W Warszawie wyszło nakładem Gebethnera i Wolffa dzieło p. n.: Wieczory czwartkowe, — opowiadania o cudach przyrody i znakomitszych odkryciach naukowych, młodocianemu wiekowi poświęcone przez Starego Przyjaciela Dzieci, — z 30 drzewerytami; — we Lwowie zaś nakładem Gubrynowicza i Schmidta „Kilka myśli o wychowaniu i wykształceniu niewiast naszych przez A. D“

* * *

— Pod względem biograficznym zwraca się uwagę na świętego Anzelma Dominikana, Polaka, który apostołując r. 1245 w Tatarji a następnie w Persji, poniósł śmierć męczeńską za wiarę chrześcijańską. Kościół obchodzi pamiątkę tegoż Anzelma pod dniem 27 czerwca. — Pierer'a Universal-Lexikon nie wymienia jego narodowości, a Nowowieyskiego „Phaenix Decoris et Ornamenti, provinciae Poloniae, s. Ordinis Praedicatorum“, na str. 41 powołuje się na powagę Bzowiusza i Wincentego de Beauvais' czyli Bellovacensis lub Belluacensis.

Skrzynka do listów.

Pana Narzymskiego prosimy o podanie obecnego adresu.

Panom Gubrynowiczowi i Szmitowi we Lwowie: Pamiętniki Natalisa Sulerzyckiego dotąd jeszcze nie wyszły. —

P. M... w Poznaniu: Pod cyframi H. W. znajduje się w naszéj tece tylko jeden wiersz p. n. Dumanie, który w Tygodniku zamieszczonym być nie może. —

Doktorowi Radw.... w Krakowie: Artykuł Jego o Słowackim umieszczonym być nie może — zwracać go jednak nie jesteśmy obowiązani, gdyż prace niżéj arkusza druku zawierające, wedle przyjętego we wszystkich niemal redakcjach zwyczaju niszczą się po przejrzeniu, — większe zaś tylko zachowują się aby je w danym razie zwrócić. — Co się tyczy artykułów nabytych przez redakcję, temi ona rozporządza dowolnie. —

P. Wołodemu Skibie: Dwa egzemplarze „Pod jednym dachem“ wysłaliśmy podług adresów. —

Panu J. Dobr... w Krakowie: Praca pańska drukowaną będzie, nie dziw się Pan jednak, że czas jakiś na to czekać jéj wypadnie. —

Symplicjuszowi Pasternakowi w Krakowie: Korespondencji pańskiéj, jakkolwiek pełna ona prawdziwego humoru, a raczéj właśnie dla tego nie możemy drukować. Szkoda — bo wyznanie wiary jest prawdziwie budujące i zdołałoby nawrócić tysiące niewiernych. W każdym razie dziękujemy za chwilę przyjemną, którą nam dało jéj odczytanie. —

Panu Ja... K.. w J... pod L...: Przypominamy się po raz wtóry. —

Panu Cz... P... w Dreznie: Wysłaliśmy; — na przyszłość jednak chciéj się Pan układać z samym Redaktorem. —

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.